

Widziane

ze stolicy

Nawet nie wiecie szanowni Państwo, jak to kłopotliwe jest czasem mieć kolegów, którzy pracują w teatrze na posadach aktorskich, reżyserskich i im podobnych. Raz na jakiś czas bowiem w teatrze wypada premiera z udziałem wspomnianych kolegów. Po premierze są brawa, a za kulisami podziękowania. „Podziękowania” to jedyne odpowiednie słowo. Widz podchodzi do – na ogół znanego mu – aktora albo reżysera i ściskając lub nie (zależy od stopnia zażyłości), wypowiada konwencjonalne słowo „dziękuję”, nieraz z dodanymi

Podziękowania w teatrze

ozdobnikami: „bardzo” albo „serdecznie”. Słowo „dziękuję” wypowiedziane przez widza niczego nie wartościuje i nie osądza. Bo przecież „dziękujemy” aktorowi za trud grania, choć np. podobało nam się tak sobie. Dziękujemy reżyserowi za pracę, ale nie mamy bladego pojęcia, czy spektakl był dobry, bo niczego nie zrozumieliśmy. Czy to dzieło, czy masakra okaże się i tak później. Dziękujemy i już.

Zauważyłem – zwłaszcza u dziękujących widzek – teatromanek (jestem tuż po manifie, Państwo rozumiecie, poprawność polityczna), pewną wyższość w głosie i samej postawie. Polega to na tym, że widzka podchodzi do aktora albo reżysera albo autora sztuki i słowo „dziękuję” wypowiada z lekko przechyloną głową do tyłu, podając rękę wyprostowaną, drugą zaś przytrzymując na ramieniu zsuwającą się podczas tego gestu torebkę. Odbierający podziękowania artyści oczywiście nie oczekują w tym momencie niczego więcej, bo znają konwencję podziękowań, gdyż sami dziękują, kiedy zachodzi taka sytuacja. Niektórzy wykonawcy czują się zmęczeni i najchętniej napiliby się już wódki, niektórzy ambitniejsi są wciąż „w roli” i dziękują za „dziękuję”, ledwie wypowiadając te słowo. Są też aktorzy, którzy dość mało narobili się na scenie, natomiast w kulisach uwijają się za dwóch a nawet trzech gwiazdorów i wówczas do podziękowań dorzucają: dziękuję kochana, że jesteś, wspaniale, że przyszedłaś itp. itd. Chcąc z góry zatuszować ewentualną mizериę przedstawienia rzucają: nie, nie to jeszcze nie gotowe, powinniście przyjść za tydzień, (po paru spektaklach) to będzie lepiej.

Tak więc kłopot ze znajomym artystą mamy dopiero wówczas, gdy spektakl (rola) był kiepski i gdy siadamy do rozmowy w teatralnym bufecie albo gdzieś „na mieście” i usiłujemy coś oceniać. Jeżeli przedstawienie było ewidentnie kiepskie, do zaprzyjaźnionego artysty mówimy: „ty byłeś w porządku”, a o reszcie wypowiadamy się oględnie. Gdy nasz kumpel aktor „dał ciała”, pocieszamy jego oraz siebie i wówczas napięprzamy na autora sztuki. No nie – uspokajamy nieudacznika – nic nie mogłeś z takim tekstem zrobić więcej. A gdy wszystko dobrze, no to na zdrowie.

W ostatni piątek po premierze w Teatrze Powszechnym w Warszawie podszedłem do znajomego mi Artura Pałygi, autora sztuki „Nieskończona historia” i szczerze mu pogratulowałem. Bo napisał dobry tekst: poetycką historię swej kamienicy z Bielska-Białej, a reżyser i kompozytor z aktorami stworzyli zatrzymujące uwagę i zachęcające do oglądania, i słuchania oratorium teatralne. Mówią w nim o „tu i teraz”, a nie chce się człowiek po przedstawieniu wyrzygać, jak po spektaklach fetowanego w Polsce pewnego duetu teatralnego. Przeciwnie, powraca wiara w teatr.

Marek Stremecki